

„Beksiński”

Wyobraźnia tak bardzo parzy ręce moje,
gdy tylko chcę ramy dotknąć,
musnąć drzewa farbą upojonego,
przesiąkniętego grozą mroku, poczuć.
A płótno,
moje oczy rani,
pazurami brzydoty drapie duszy plecy,
Zatrzasnąć powiek nie mogę,
gwoździami zabić wieka się lękam.
Sił mi nie starcza by wzrok odwrócić,
zamknąć bramę cmentarza na klucz wieczny,
farby tak bardzo trupem pachną,
czarne wrony kraczą o niepojętym bólu istnienia.
Kolory blade i te blaskiem nasyczone,
szydzą z siebie wzajemnie jak dzieci,
chcesz wydobyć z nich, choć ziarno nadziei,
ptaszyska już dawno zadziobały słońce.
Sytości nie mogę zaznać patrząc na pozszywaną ludzką kukłę,
Tajemnica oblewa mnie zimnym potem,
godziny lecą niczym ptaki rozkochane latem,
A ja dalej nie rozumiem kształtu rzeźby.

Kości,kosteczki,włókna,niteczki,
postrzępione skrawki nieszczęścia płaszczą,
wymalowane pędzlem talentu na miarę,
zachodu słońca kryjącego się za Marsa chłodem.
A może żar bijący z tej teatralnej paszczy,
ma ogrzać serca na kość zmarznięte,
roztopić lodu bryłę,
krwi nurt, zmusić do cwału.
Nad kołyską śmierć roztacza troskę,
buja malca, do snu zachęca.

Po plecach szelma się przechadza,
cierpną giry,
na nogach chwieje się strach powszedni.
Żądza przebrana w obrzydzenia mundur,
lubieżność rozchełstana ze skórki, niczym pomarańcza,
żołnierz pragnie bliskości panny ziemistej,
zapach chryzantem obudził kul namiętność.
A samotność, jak dominująca dama,
krzyczy bezgłośnie z okna izolatki,
tak bardzo chciałyby uwagi, choć garść dostać,
łyżkę podziwu Coca colą popić.
Ale sznur upleciony z krytycznej liny,
pęta mocno barki wolności,
tak mocno słów się boje,
że pisać przestanę, chyba na zawsze.

Fascynacja duchem śmierci przeraża moją żonę,
Z niesmakiem odwraca głowę od prawdy.
Nie jest w stanie jednak ukryć podziwu nuty,
Oczy szklą jej się łez doliną.
Inspiracja mistrza pędzlem,
czarnym tuszem na mych rękach wykuta,
razi na plażach piaskiem obsypanych,
kłuje oczy w gorące dni lata.
Nie staram się już zrozumieć treści płócien,
za to czuć chcę je ,całym sobą,
grabiami garnę uczuć liście,
palę ogniska na ogrodzie wiosną zielonym,
ogniem płonie me wnętrze.
Z wrażliwością grzejemy zimne paluchy,
smażymy kielbasę w czarne walce.
I nagle deszcz topi języki smocze,
jesteśmy już na pełnym morzu,
w zbawienia Arce.

Kończę.

Na spacer iść muszę.

Z pomiotem czarcim,

czarnym kołtunem,

wilczym kuzynem,

swoim rozumem.

Poszukać w sobie, czemu to robię.

On strach malował, też mam go w sobie.

Wody zarazy płótna zalały,

zmyły sztam powe, blade annały.

Nowe patrzanie na barwy istnień,

wypełzło z mułu, na czystą przestrzeń.

Patrzcie, bo kłamstwem jest nie patrzanie,

Ignorowanie jest jak więzienie.

A cele duszne, klaustrofobiczne,

a niebo takie metafizyczne.